milczeniem, zagadkowym wyrazem twarzy i tysiącem innych sposobów, które jej ostrożność i spryt wrodzony dyktował, tak że zczasem nikt nie mógł się domyśleć, iż „piękna madame Rouguez“ była niegdyś u „Jules et Maxence“ i skromną swoją pensją pomagała czasami wybijającemu się doktorowi w pokrywaniu wydatków domowych.

To też, gdy pewnego wieczora, chirurg siedzący przy kominku w wielkim swym gabinecie o mozajkowych ścianach, podniósłszy z nad książki oczy, ujrzał Noellie na uboczu z oczami pełnemi łez i palcami zaciśniętemi na piersi, zerwał się z fotela, pytając ochrypłym głosem:

— Co ci jest, moja droga?

Ściągając usta, uśmiechnęła się:

— Ależ nic, Maksie, doprawdy, nic...

Chirurg jednak nalegał i słowo za słowem, wydobył z niej tajemnicę, którą kryła przed nim od pewnego czasu starannie. Mówiąc, tuliła się do niego i jak winowajczyni zakończyła głosem drżącym:

— Ach Boże, co ja zrobiłam! Przestraszyłam cię niepotrzebnie!...

Chirurg zmarszczył brwi, trzepnął palcami i nie odpowiadając, podszedł do telefonu:

— Hallo... Littré 21-09... To wy, Saurin-? Możecie przyjechać do mnie? Chciałbym pokazać wam chorego... tak...

Wrócił do Noellie i kładąc jej rękę na ramieniu:

— Dlaczego milczałaś dotychczas? Uzbrój się w odwagę: sprawa poważniejsza, niż przypuszczasz...

Usiedli później naprzeciwko siebie, nie ośmielając się spojrzeć sobie w oczy. — Wstali na odgłos dzwonka dopiero.

Wszedł doktór-praktyk i zapytał krótko:

— A co tam, kolego?

— Moja żona....

Wstydliwa, jak młode dziewczę, Noellie nie chciała się rozebrać... Rouguez zmuszony był użyć siły niemal. Oczom lekarzy ukazała się lewa pierś Noellie, nabrzmiała, twarda i bolesna w dotknięciu. Spowiadała się ze swego bólu głosem przerywanym czkawką, ze spuszczonemi oczami, jak dziecko przyłapane na złym uczynku.

— Trzeba operować to natychmiast... jeżeli...

Doktór Rouguez ścisnął ramię kolegi, który umilkł. Zostawiwszy Saurina samego zaprowadził Noellie do swego pokoju. Podczas gdy rozbierała się, usiłował pocieszać ją:

— Mała, bagatelna operacja... Po niej zaraz ci się polepszy...

Spojrzawszy mu w oczy ostro, rzekła:

— Słuchaj, Maks, do ciebie tylko należałam do ciebie wyłącznie... Przysięgnij mi, że nikt inny, prócz ciebie nie dotknie mnie... Przysięgnij....

Przysiągł, odwróciwszy wzrok i zszedł do Saurina, który wyciągnąwszy doń dłonie, mówił:

— Mój biedaku! Wiesz przecież... rude kobiety... skłonność... gruźlica...

Rouguez westchnął i rozłożywszy ręce, rzekł:

— Muszę ci się przyznać... Ona nie jest moją żoną... Czy mam prawo...?

Nazajutrz, podczas gdy jeden z asystentów robił przygotowania, Rouguez dawał ostatnie upomnienia Noellie:

— Zachowuj się spokojnie. To głupstwo. Będę czuwał tej nocy przy tobie...

Przerwała mu, biorąc go za rękę:

— Słuchaj, Maks, co innego mię niepokoi. Będziesz patrzał na mnie innemi oczami, niż zwykle. Ujrzysz nie ciało kobiety, którą kochałeś, lecz ciało pacjentki. Mam pięćdziesiąt lat blisko, mój, biedaku... czy... czy... nie będziesz mniej kochał mię potem...?

Rouguez słuchał jej z przestrachem i zamknął oczy:

— Zwarjowałaś, Noellie! Szalone myśli snują ci się po głowie! Ciebie jedną kocham tylko!

Asystent zbliżał się.

— Proszę odejść — rozkazał krótko.

Uczuł palce Noellie, zaciskające się wokoło jego dłoni, niespokojny wzrok jej śledził każdy ruch jego twarzy, a piersi wzno-

siły się w przyśpieszonym, gorączkowym oddechu.

— Bądź gotowa, Noellie... idę ubrać się — rzekł spokojnie, mimo, że wstrząsnęło nim do głębi zachowanie kobiety. Zrozumiał bowiem nagle — pod wpływem jej trwożnych przypuszczeń — jaka przepaść ich dzieli. Przepaść, z której nie zdawał sobie sprawy dotychczas. Oddawna już była mu przyjaciółką tylko, towarzyszką, inteligentną współpracownicą, żyjącą razem z nim pod jednym dachem. Dwa ich pokoje sypialne były na dwóch krańcach mieszkania.

Rouguez wspomniał nagle z głębokiem wzruszeniem ów daleki wieczór, kiedy młodziutkie dziewczę, jakiem Noellie była naówczas, zawisło mu w ramionach i oddało mu się bez zastrzeżeń, pokory pełne, dlatego tylko, że go kochało...

Gdy wszedł do operacyjnej sali, Noellie leżała naga na operacyjnym stole, z głową w tiulowym czepku, którego falbana spadała na oczy. Rouguez zmrużył powieki i spojrzał. Po raz pierwszy zobaczył obwisłość podgardla i bioder, zmarszczki i niebieskie żyły pod żółtawą, bladą skórą. Doznał, mimo swej woli, pewnego rodzaju obrzydzenia.

— Śpieszmy się, no! — rzucił krótko.

Interni, spojrzawszy nań, zmieszani przykryli całe ciało prześcieradłem oprócz kwadratowego decymetra chorej piersi. Jeden z internów zrobił na niej cięcie w kształcie półksiężyca z obojętnością ucznia przy stole selekcyjnym.

— Ostrożnie, wolniej... — upominał go Rouguez z bladą twarzą, podnosząc surowy wzrok od operowanej piersi ku twarzy asystenta. Ten, stropiony, szepnął:

— Dokładam wszelkich starań, panie profesorze, ale to tłuszczowe ciało starych kobiet... pan profesor rozumie... jest nadzwyczaj trudne...

Rouguez pochylił się ku niemu i patrząc mu w oczy z gniewem, wycedził przez zęby:

— Precz... Precz natychmiast, mówię panu!... Pan nie służysz u mnie od jutrzejszego ranka!...

Wyrwał mu z rąk lancet oraz szczypczyki i sam zabrał się do roboty. Obok niego, jeden z pomocników szepnął asystentowi bardzo cicho na ucho:

— Czyż nie wiesz, że to żona „szefa“?

Rouguez rzucił mu surowe spojrzenie.

— Więc co? Proszę być cicho... tu rozmawiać nie wolno — powiedział.

Nawał myśli zalewał jego mózg; myśli bolesnych i splątanych. Zdało mu się, że źle zrobił, spełniając prośbę Noellie. Mimo to, zoperował ją, jak mógł najlepiej, sam zszył rozciętą pierś i był obecny przy obudzeniu się chorej.

Gdy otworzyła oczy, pierwsze jej spojrzenie było dla niego.

Patrzała przez chwilę, na zbladłą i drżącą konwulsyjnie twarz Rougeuza i zrobiwszy mu znak, aby się nachylił ku niej, wyszeptała:

— Straszny, okropny widok, nieprawdaż, Maks? Ale to nic! Ja wiem, z pewnością wiem, że mam nie więcej nad trzy miesiące życia przed sobą... Zapomnisz... potem...

Uciekł, nie mogąc słuchać dłużej. Zatrzymawszy się w szatni, osunął się na krzesło i wybuchł niepowstrzymanem łkaniem. Płakał pełen goryczy i upokorzenia, nad swoją niewdzięcznością i dotkniętą miłością własną. Czuł bowiem, że wszystkie wspomnienia przeszłości, przeżytej z czarująco piękną Noellie, nie są w stanie obalić widoku jej zniszczonego ciała, które miał teraz w oczach.

Ból inny, szlachetny ponadto, z głębi duszy płynący, targał jego jestestwem: doktór Rouguez zdawał sobie mianowicie sprawę, że zbyt głęboko kochał Noellie, aby mógł o niej kiedykolwiek zapomnieć.

Czyjaś ręka trwożnie dotknęła jego ramienia i cichy, nieśmiały, zrozpaczony głos rozległ się:

— Panie profesorze... szefie... przebacz mi... zawiniłem...

Tłum. Jotsaw.

Redaktor: **Klemens Orchulski.**

Odbito w drukarni **„Kurjera Łódzkiego“.**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI. Niedziela, dnia 7 kwietnia 1929 roku. Nr. 14.

Z Miejskiej Galerji Sztuki.

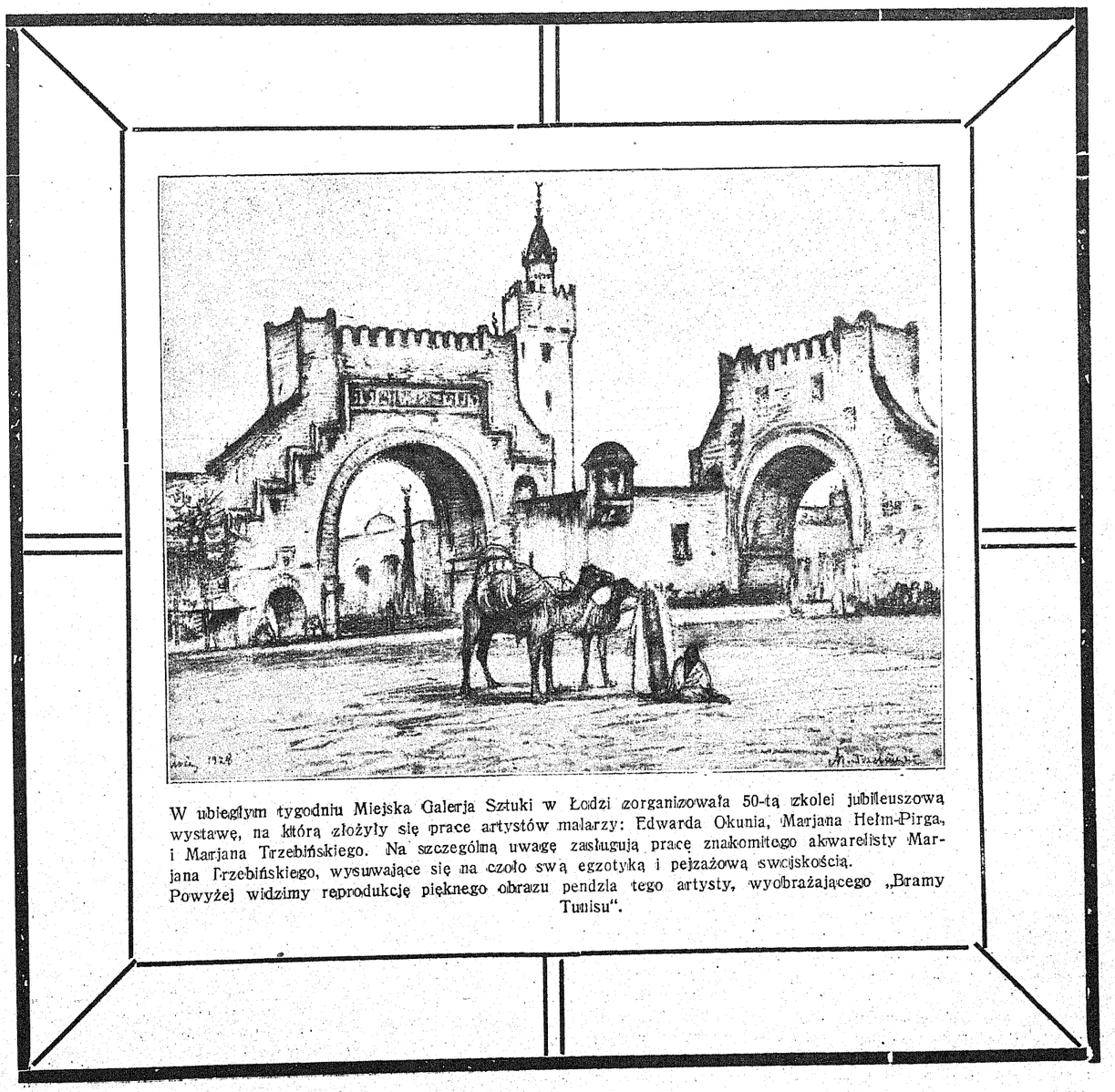

W ubiegłym tygodniu Miejska Galerja Sztuki w Łodzi zorganizowała 50-tą zkolei jubileuszową wystawę, na którą złożyły się prace artystów malarzy: Edwarda Okunia, Marjana Hełm-Pirga, i Marjana Trzebińskiego. Na szczególną uwagę zasługują pracę znakomitego akwarelisty Marjana Trzebińskiego, wysuwające się na czoło swą egzotyką i pejzażową swojskością.
Powyżej widzimy reprodukcję pięknego obrazu pendzla tego artysty, wyobrażającego „Bramy Tunisu“.

TEATRALJA

„Batory“ i „Wilki“. — Tam, jeszcze gorzej.

Jak już pisaliśmy, Teatr Polski w Warszawie przystępuje w najbliższych dniach do realizacji historycznego dramatu Goetla, „Samuel Zborowski“, nagrodzonego na konkursie krakowskim. Postać historycznego warchoła, może w pewnym stopniu pod wpływem dzieła Słowackiego, wystawionego podczas uroczystości pogrzebu Wieszcza w stolicy, posiada snać sugestywną moc działania na naszych pisarzy współczesnych gdyż i powieściopisarz Szpotański w swej sztuce p. t. „Batory“ czyni Zborowskiego — obok postaci tytułowej — drugim bohaterem swego utworu.

Niewątpliwie zamiarem autora „Batorego“ było sceniczne przeciwstawienie dwóch potęg szlacheckiej Polski: króla i możnowładztwa — udramatyzowanie historycznego konfliktu pomiędzy zasadą państwowości a nieposkromionym pędem do indywidualnej wolności czy raczej — swawoli. Personifikacją dwóch potęg, dwóch prądów, dwóch światopoglądów — są Batory i Samuel Zborowski i wokół ścierania się tych dwóch postaci, z których każda posiada w sobie tchnienie niezwykłości, osnuwa się treść sztuki Szpotańskiego, wystawionej w tych dniach w Teatrze Narodowym. Autor „Batorego“, nie będąc nowicjuszem w pracy literackiej, ma jednak jako dramaturg, cechy debiutanta. Dlatego też — znajdujące się do dyspozycji środki dramatopisarskie autora „Batorego“ nie mogły wystarczyć do przetworzenia historji w poezję, do nadania patynie wieków blasków żywej prawdy — skąd dysproporcja pomiędzy wielkością tematu i zamiaru a budową i wymową sztuki. Pomimo starannej literackości niektórych fragmentów i jak najlepszej intencji założeń podstawowych, „Batory“, jako dzieło dramatyczne, nie wstrząsa ani nie wzrusza, choć zdawałoby się, że z tej olbrzymiej kuźni królewsko - możnowładczych zapasów muszą sypać się iskry, zdolne w najobojętniejszym z piszących wzniecić żar natchnienia.

P. Szpotański położył nacisk raczej na dydaktyczną stronę konfliktu, na wyciągnięcie zeń esencji nauk i przestróg podanych ludziom Polski dzisiejszej w przystępnej formie widowiskowej. Nie troszcząc się zbytnio o wyższą doskonałość wymowy scenicznej, o harmonję i proporcję struktury, autor „Batorego“ dał jednak dobre i zajmujące — w zwykłem tych słów znaczeniu — widowisko, które wypełnić może poważne zadanie wychowawcze. Tem bardziej, że „Batorego“ wyreżyserował klasycznie mistrz Solski, uświetniając przytem sztukę wspaniałą grą swoją w roli tytułowej. Obok Solskiego — Węgrzyn, jako Zborowski, dał znowu koncert niezrównany zapału junactwa, szaleństwa, młodości, miłosnego ognia, dobywając ze swej aktorskiej duszy najpiękniejsze tony poezji i liryzmu. Z pozostałych wymienimy pp. Dulębę (Anna Jagiellonka), Brydzyńskiego (Possewin), Bayrydzewskiego (Zamoyski). P. Drabik skomponował świetne dekoracje, przenoszące widza w świat matejkowskich wizyj, w dziedziny istotnego malarskiego piękna.

Dzielny teatr „Ateneum“, kroczące po linji dobrego, wartościowego repertuaru, wystawił „Wilki“ Romain Rollanda, jedno z ogniw cyklicznego dzieła znakomitego pisarza, który w dziejach Wielkiej Rewolucji znalazł obfite źródło pomysłów dramatycznych. Prostota techniki Rollanda przystraja wzniosłość i patetyczność jego dramatów w szaty antycznego niemal teatru. Idea dziejowej sprawiedliwości w obliczu małości i zawiści ludzkich — jest osią „Wilków“ i ich myślowem uzasadnieniem. Zagadnienie niemal abstrakcyjne rozwiązuje Rolland z powagą myśliciela i artysty, który dla ścisłości i prawdy dokonywanego dzieła poświęca bez wahania wszelkie łatwe efekty, odrzuca pospolity szablon i konwencję sceniczną. Mocna i mądra sztuka autora „Jana Krzysztofa“ wystawiona była w „Ateneum“ z całym możliwym w danych warunkach chwalebnym wysiłkiem. Z pośród wykonawców zwłaszcza p. Szpakiewicz zasłużyła na gorące słowa uznania.

Z zadowoleniem należy przyjmować każdą wiadomość o postępach i sukcesach sztuk polskich na scenach zagranicznych. To też skwapliwie notujemy wystawienie „Zaczarowanego Koła“ — Rydla w Morawskiej Ostrawie oraz „Djabła i Karczmarki“ — Krzywoszewskiego w Teatrze Narodowym w Rydze. Obie sztuki, dobrze znane publiczności polskiej, spotkały się z bardzo życzliwem przyjęciem.

Dość często słyszy się u nas i gdzie indziej utyskiwania i narzekania na obniżenie estetycznego poziomu teatru współczesnego, na wzrastające upodobania autorów do tematów drastycznych, idące zresztą w parze z lubowaniem się publiczności w atmosferze erotycznego gorąca, jeśli nie — zaduchu. Jest w tem niewątpliwie sporo prawdy, ale myliłby się ten, ktoby sądził że w kwakierskiej, moralnej, prohibicyjnej Ameryce jest — inaczej, że w dziedzinie czystości dramatycznej Nowy Świat mógłby być przykładem „zgniłej“ Europie. **Delta.**

W ubiegłym miesiącu Teatr Miejski wystawił kapitalną komedję, znakomitego humorysty M. Hemara „Dwaj panowie B“. Powyżej dwaj wykonawcy głównych ról pp. Michał Znicz i Tadeusz Krotke.

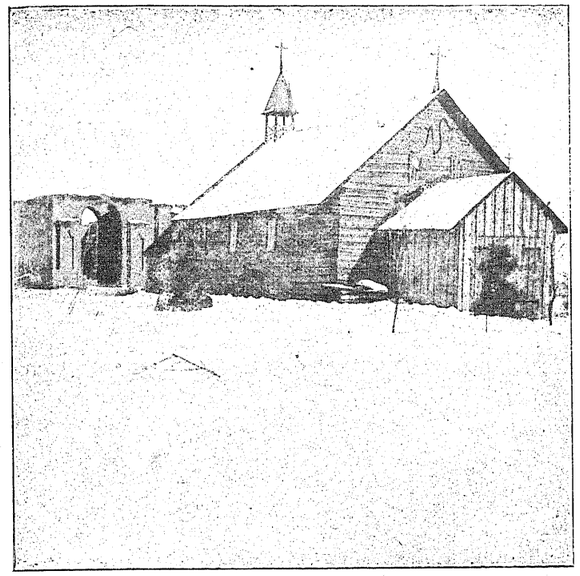

Parafjalny kościołek drewniany w miejscowości Będoń pod Łodzią, którego proboszczem jest znany w mieście naszem kapłan ks. Świetliński.

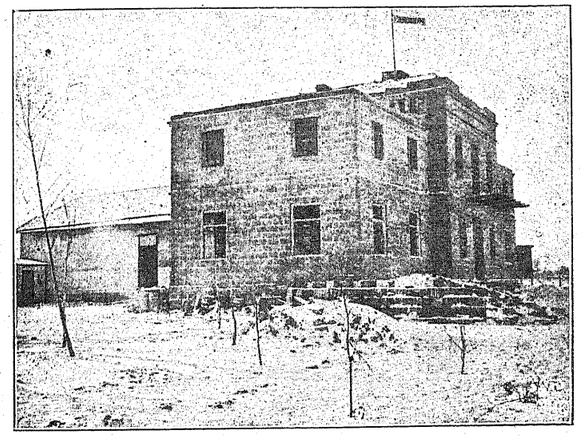

Nowowzniesiony parafjalny Dom Ludowy w Będoniu przed całkowitem wykończeniem.

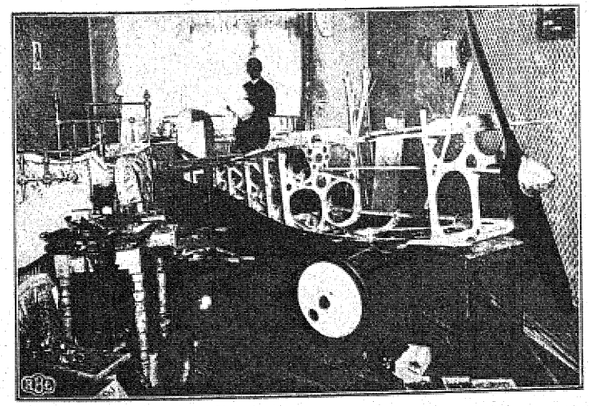

Najmniejsza awionetka dwuosobowa o sile motoru 35 H. P. skonstruowana w Kaliszu przez b. lotnika wojskowego p. Józefa Grzmilasa. Powyżej konstruktor przy pracy we własnem mieszkaniu.

Ś. p. ks. kanonik, Ryszard Malinowski, proboszcz parafji Przemienienia Pańskiego, gorliwy kapłan i niestrudzony działacz społeczny, ku czci którego odbyło się poświęcenie tablicy pamiątkowej w dniu 3 b. m. w kościele Przemienienia Pańskiego na ul. Rzgowskiej.

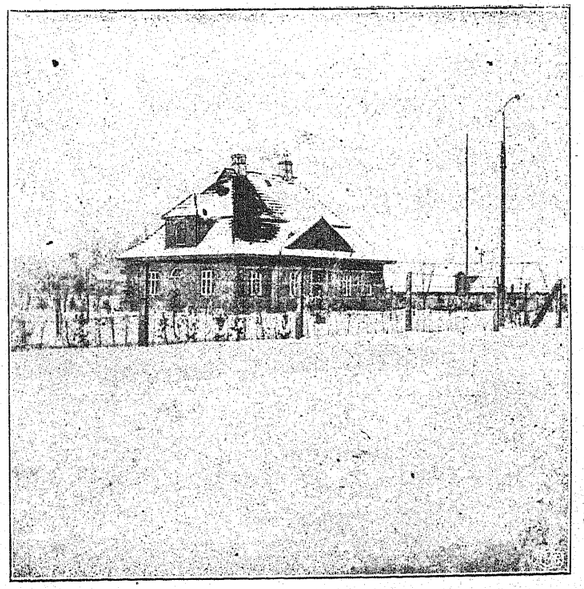

Plebanja parafji będońskiej. W głębi rysuje się sylwetka kościoła.

Na srebrnym ekranie.

Niezrównany komik filmowy, Monty Banks, w swej najnowszej roli w filmie p. n. „Szósta plaga świata". Powyżej podobizna Banks'a jako odtwórcy roli.

Virginia Valli, urocza artystka fragment jednej ze scen tego ciekawego filmu „Wyspa grozy". Na zdjęciu fr filmowa w nowym obrazie „Julfilmu" p. n.

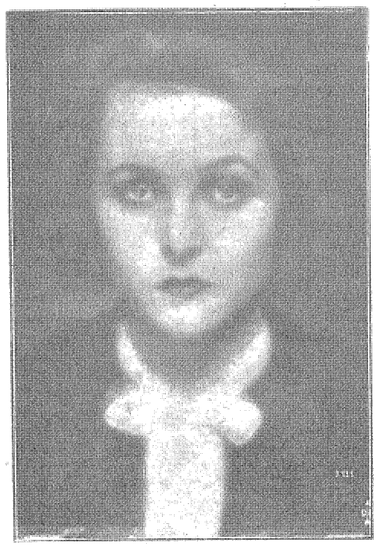

Mary Johnson, jedna z utalentowanych artystek filmowych, odtwórczyni roli głównej w filmie p. n. „Ramper".

Lotta Loring w wesołym dramacie współczesnym p. n. „Czyja jest moja żona?"

Scena z filmu „Miłość kozaka" — według powieści Tołstoja z Renée Adorée i Johnem Gilbertem w rolach głównych.

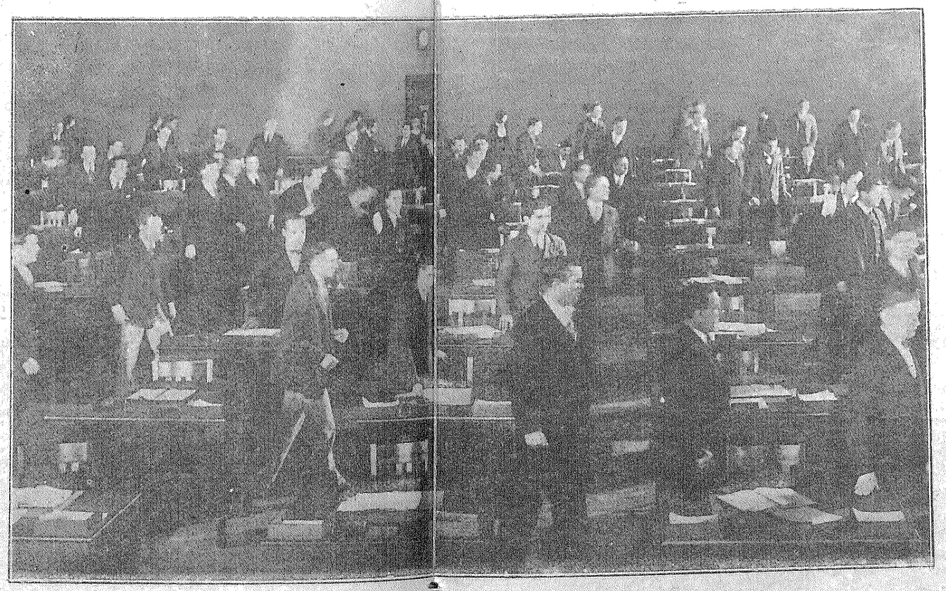

Wspaniała scena w redakcji amerykańskiego pisma z filmu p. n. „Człowiek z tłumu", zrealizowanego przez reżysera King Vidora, twórcy „Wielkiej parady" dla wytwórni „Metro-Goldwyn"

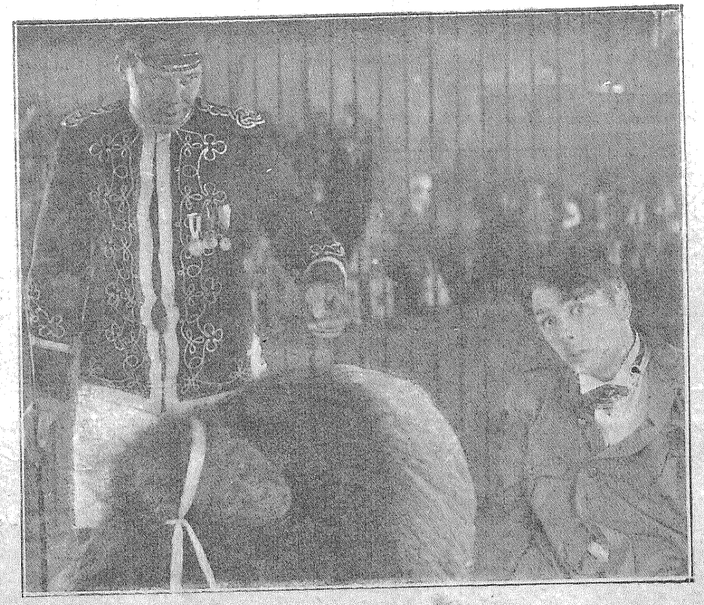

Znakomity komik, Karol Dome (Slim z „Wielkiej parady") oraz jego nieodłączny towarzysz George K. Arthur w filmie „Cyrkowcem mimowoli".

Bronisław Staszel - Polankowa, mistrzyni Europy w biegu pań na 6 kilometrów w Westerowie.

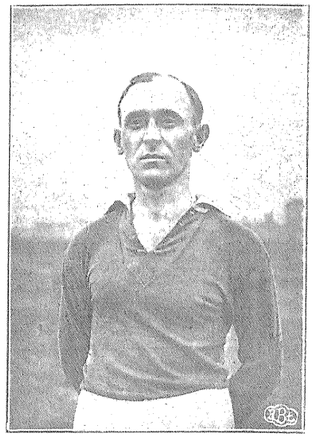

Wawrzyniec Cyll najpopularniejszy i najstarszy czynny piłkarz Łodzi, olimpijczyk Polski którego podobizna zostanie zamieszczona w sportowym pawilonie na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu. Fot. A. Meyer.

Reprezentacja Warszawy w hazenie.

Moment gry w piłkę nożną drużyn kobiecych.

Reprezentacja Łodzi w hazenie.

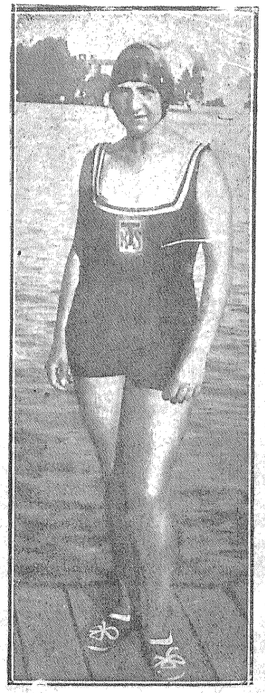

P. Skowrońska (T. K. S.), pierwsza przepłynęła polski „La Manche" — zatokę, wiodącą morzem z Gdyni na Hel.

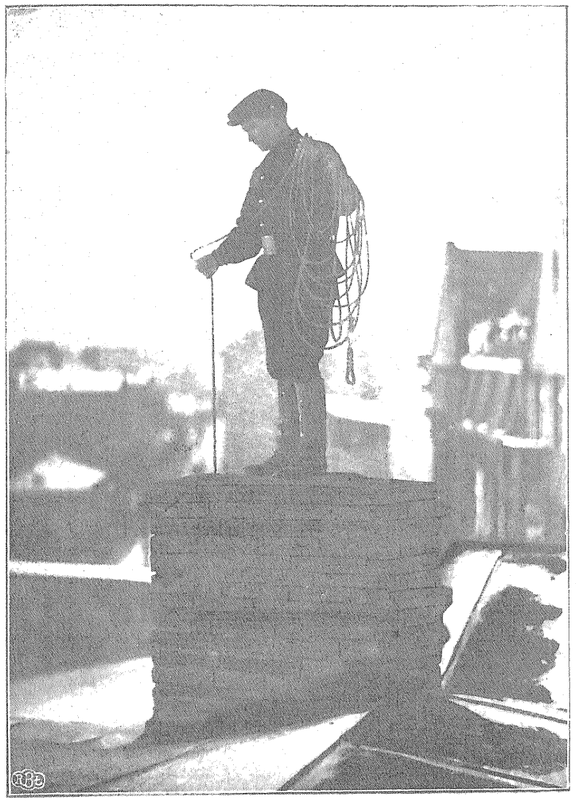

Pomiędzy niebem a ziemią. Kominiarz pełniący swój twardy obowiązek doglądania przewodów palnych, to niestrudzony strażnik bezpieczeństwa publicznego i człowiek niemałej odwagi. Powyżej widzimy sylwetkę pracującego kominiarza na tle piętrzących się gmachów.

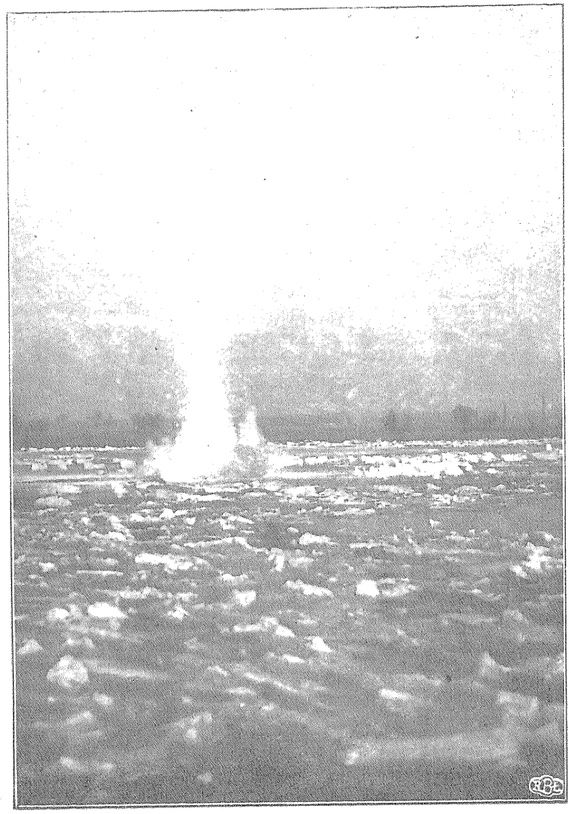

Walka z żywiołem powodzi. Efektowny moment rozsadzania kry lodowej na rzece Warcie. Na powierzchni rzeki płynie obficie kra, tworząca zatory, rozbijane dynamitem.

W ubiegłym tygodniu rozpoczął się w Łodzi sezon piłkarski, zainaugurowany meczem ligowym rozegranym przez Ł. K. S. z Polonją. Na zdjęciu widzimy zespół graczy I-ej drużyny Ł. K. S. z trenerem p. Lintzmeyerem na czele.

Reprezentacje Łodzi i Warszawy w boksie, które spotkały się w ringu w ubiegłym tygodniu, dając wynik 6:5 na korzyść Łodzi. Powyżej zespoły dwóch reprezentacyj.
Fot. A. Meyer.

ARTUR DOURLIAC.

Juljusz Verne winowajcą.

Ach! Ten Juljusz Verne! Zawdzięczam mu niejedną dobrą godzinę w mojem dzieciństwie, ale jest to literatura niebezpieczna dla małych mieszczuchów, którzy nigdy nie wysunęli nosa ze swej skorupki i różnią się krańcowo od śmiałych chłopców portowych, rosnących na swobodzie, między kamieniami, w ożywczem powietrzu morskiem.

Do lat dwunastu, ja, nie przekroczyłem progu magazynu mego wuja i opiekuna, Honorjusza Laplume, mieszkającego stale przy ulicy Saint-Denis, po którym miałem objąć, doszedłszy do lat dojrzałych, zawód bandażysty, uprawiany z ojca na syna przez wszystkich Laplume'ów od stulecia, jak głosił o tem miedziany szyld, dumnie panoszący się nad naszemi drzwiami.

Kuszaca ta perspektywa uśmiechała mi się średnio. Miałem już wówczas bowiem ducha cygańskiego w sobie i moje ucieczki do skweru „Arts-et Metiers", oddalonego o setkę metrów zaledwie, doprowadzały do rozpaczy cnego opiekuna mego, który uważał że natłoczony chodnik ulicy powinien być wystarczającą rozrywką dla mnie.

W którymś roku dostałem na gwiazdkę książkę p. t. „Dwadzieścia tysięcy mil pod wodą" Juljusza Vernego.

Dwadzieścia tysięcy mil pod wodą dla mnie, który nie przebył mili nawet po powierzchni Sekwany!

Wpadłem w zachwyt. Po całych dniach siedziałem z moją książką przy oknie, ani myśląc wyjrzeć na ulicę. Mój wuj, uszczęśliwiony moją statecznością, wdzięcznym wzrokiem spoglądał raz po raz na drogocenne dzieło.

— Zajmuje cię bardzo ta książka mały?

— Oh! Tak, mój wuju...

— Więcej chyba warta, niż uganianie się z ulicznikami po ulicach, gdzie może cię wypadek spotkać w dodatku.

— Skończę ją czytać niebawem, wuju.. — rzekłem z westchnieniem.

— Ach! Czy nie zrobił więcej takich książek ten pan?

— Całe stosy, wuju: „Kapitan Hatteras", „Od ziemi do księżyca", „Dzieci kapitana Granta".

— Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! — zawołał mój poczciwina, zacierając ręce.

I, ledwie, że kapitan Nemo wpadł w Maelstrom, znalazłem na moim stole „Piętnastoletniego kapitana". Mój wuj zamówił ryczałtem wszystkie „Nadzwyczajne podróże" u pośrednika księgarskiego, naszego sąsiada.

Odtąd prowadziłem równie siedzące życie, co i mój zacny opiekun, korzystając z każdej chwili wolnej dla pożerania mych książem, marząc na jawie o zstąpieniu do wnętrza ziemi, spacerach ku gwiazdom. Morze jednak najwięcej pociągało mnie i byłbym się chętnie zgodził na wieczną niewolę w owym cudownym Nautilusie, ażeby móc również żeglować po oceanach. Mój wuj winszował sobie strategji.

— Nie opuszcza domu! — powtarzał uszczęśliwiony.

Ja tymczasem nigdy nie byłem dalej od domu, jak w owe czasy. Juljusz Verne bowiem obrzydził mi do reszty zawód prozaiczny, sądzony mi od urodzenia wprawdzie, ale do którego nie czułem skłonności. Żaden z bohaterów jego nie był bandażystą!

Argument ten, bardzo ważki dla mnie, mógł nie trafić do przekonania memu wujowi - opiekunowi, uważając więc za bezużyteczne popisywać się z nim, wilją aktu wtajemniczenia mnie w tajniki gutaperchy (gutaperki) i szelek higienicznych, zemknąłem, pozostawiwszy patetyczny list, oznajmiający w dość niezdarny sposób moje niedające się pokonać, powołanie.

Juljusz Verne był winowajcą!

Podczas kiedy wuj mój, rzucał prawdopodobnie przekleństwa na jego głowę, jechałem do Havre z sercem równie jak kieszeń, lekkiem. Ledwie wysiadłszy na peron dworca, szukałem wzrokiem fal, spodziewając się, że ujrze je rozbryzgujące się

aż ku poczekalniom. Wskazano mi tramwaj, którym mogę się dostać na plażę... Było to pierwsze moje rozczarowanie.

Drugie, stokroć gorsze, czekało mnie, skoro stanąłem w obliczu tego olbrzymiego obrusa płynnego, jednolitego, jak źwierciadło, dzierganego kilku zaledwie srebrzystemi barankami. Trafiłem bowiem na zupełną ciszę, ja, który wyobrażałem sobie morze, wzburzone z bałwanami, wysokiemi na dwadzieścia metrów, co najmniej.

Trwałem, mimo to w postanowieniu zostania marynarzem i udania się w daleką podróż morską.

Wziąwszy na odwagę, zbliżyłem się do starego marynarza, przechadzającego się z fajeczką w ustach i przedstawiłem mu nieśmiało mą prośbę.

Zmierzył mnie od stóp do głów oczami, pytając:

— Uciekłeś z Paryża, nieprawdaż?

— Tak.

— Wracajże czem prędzej do domu, póki cię żandarmami nie odstawią, chłopcze!

I zawróciwszy na pięcie, odszedł. Śmiejąc się.

Nagle zdarty głos szepnął mi do ucha:

— Ja ci to załatwię.

Był to młody chłopiec o pomazanej twarzy i brudnym trykocie, który od pewnego czasu kręcił się koło mnie. Wyglądał na kominiarza raczej, aniżeli na majtka, ale wytłumaczył mi, że jest przy palenisku i że mnie tam zainstaluje. Muszę jednak pozbyć się przedtem mojego mieszczańskiego ubrania.

— Trzeba na to trochę pieniędzy... — dodał.

— Mam — odparłem nieoględnie.

Mój nowy przyjaciel ucieszył się najwidoczniej i gorliwiej jeszcze zajął się moją osobą. Zaprowadził mnie do okropnego handeciarza, gdzie zamieniłem mój garnitur z cienkiego sukna na wystrzępione spodeńki i spłowiały trykot. Wziął moją portmonetkę z pieniędzmi do kieszeni, oznajmiając mi, że będzie odtąd prowadził moją kasę, poczem zawlókł mnie do szynku portowego, w którym zaciągano się — jak twierdził — do marynarki.

Byłem tak zniechęcony i tak zmęczony, że nie stawiałem oporu. Siedziałem niebawem przy stole w towarzystwie kilku wisusów w rodzaju mego przyjaciela przed dzbankiem cydru i butelką starego Calvados'a, które oszołomiły mię do reszty. Trzeba było przecież okupić mój wstęp do służby morskiej..! Okupiłem go też wszelkiemi sposobami!...

Skoro obudziłem się z ciężką głową i mdnościami (choroba morska prawdopodobnie) leżałem w ciemnym pokoju i zdawało mi się, że czuję kołysanie okrętu. Niema wątpliwości: podpisałem, wsadzono mnie na okręt śpiącego...

Jestem marynarzem!

Beznadziejna rozpacz ogarnęła mi duszę i puszczając w niepamięć moje bohaterskie zamierzenia, wybuchłem łkaniem.

— Antośku! Moje dziecko!

Głos mojego wuja! Jestem w jego objęciach! Co za radość!

Opuścił, jak się później dowiedziałem, swój dom i sklep, udając się na poszukiwanie swego zbiegłego pupila. Jechał wślad za mną i znalazł mnie wreszcie... w szynku i... jakim stanie!...

Znajdowałem się w jego numerze w hotelu Frascati. Patrzałem na jego dobrą twarz, zalaną łzami i pochyloną trwożnie nade mną:

— Błagam cię, mój kochany Antośku, nie odjeżdżaj — prosił tem najlepszy z ludzi. — Będziesz robił, co zechcesz... Skoro zawód mój nie jest ci po myśli... Nie będziesz... bandażystą (ciężkie westchnienie). Ale musisz mi obiecać, że nie zostaniesz marynarzem.

Marynarzem? Broń Boże! Dość już napadłem się strachu!

W godzinę potem pędziliśmy w stronę Paryża: po takich tarapatach bowiem mój opiekun pragnął co prędzej znaleźć się w swym sklepie z bandażami, przy swej drogiej ulicy Saint-Denis i kiedy go spytano:

— Widziałeś przynajmniej morze, panie Laplume?

Odpowiedział naiwnie:

— Nie, jak mi Bóg miły. Nie spojrzałem na nie!

Tłum. Jotsaw.

Redaktor: **Klemens Orchulski.**

Odbito w drukarni **„Kurjera Łódzkiego".**

Łódź w ilustracji

DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO".

Rok VI. Niedziela, 14-go kwietnia 1929 r. Nr. 15.

Łódź na międzynarodowym kongresie lokatorów w Pradze.

Zrzeszenia lokatorów okazują dużą żywotność, jako silna i zespolona organizacja społeczna zarówno w Polsce, jako też zagranicą. Dowodem tego był międzynarodowy kongres przedstawicieli tych organizacyj w Pradze, odbyty w dniach 15, 16 i 17 marca r. b. Polskę na kongresie tym reprezentowali pp.: dr. Mierzyński, D. Konarski i J. Haneman.

Na zdjęciu powyższem liczna grupa uczestników kongresu w sali obrad. Fot. A. Mayer.